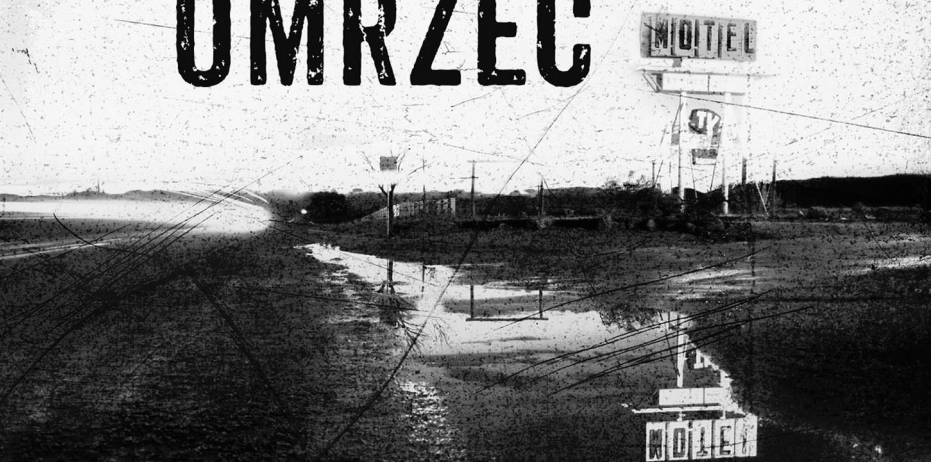


LEE CHILD

CZASAMI
WARTO
UMRZEĆ

Jack
Reacher



1

W chwili gdy zadzwoniła komórka, Eldridge Tyler jechał długim, prostym odcinkiem szosy w Nebrasce. Było późne popołudnie. Zabrał wnuczkę do sklepu, żeby kupić jej nowe trampki, i teraz odwoził ją do domu. Jego silverado z drugim rzędem siedzeń w szoferce było w szaroburym kolorze gazety z poprzedniego dnia, dziewczynka leżała na tylnym siedzeniu, ale nie spała. Trzymała wyciągnięte w górę nogi i szeroko otwartymi oczami wpatrywała się zafascynowana w wielkie białe adidasy, mając nimi pół metra nad twarzą i wydając dziwne dźwięki. Miała osiem lat i Tyler podejrzewał, że wnuczka jest lekko opóźniona w rozwoju.

Komórka Tylera nie była zbyt nowoczesna, ale pozwalała przypisać różne dzwonki do różnych numerów. Większość numerów dzwoniła standardowym brzęczykiem producenta aparatu, ale czterem przypisano dźwięki z kategorii alarmowych, takich jak syrena wozu strażackiego czy syrena sygnalizująca zanurzenie łodzi podwodnej. I właśnie taka syrena odezwała się w komórce Tylera tamtego późnego popołudnia, podczas jazdy długim, prostym odcinkiem dwukierunkowej szosy w Nebrasce, piętnaście kilometrów na południe od sklepu i trzydzieści kilometrów na północ od domu. Sięgnął po aparat przyczepiony

do deski rozdzielczej, nacisnął guzik, przyłożył do ucha i mruknął: „Tak?”.

— Możesz być nam potrzebny — powiedział męski głos.

— Znowu? — zdziwił się Tyler.

— Ty i twoja strzelba. Jak poprzednio.

— Powiedziałeś „możesz”?

— Na razie to tylko ostrzeżenie.

— A co się dzieje?

— Kręci się jakiś facet.

— Blisko?

— Trudno powiedzieć.

— Ile może wiedzieć?

— Coś wie. Ale nie wszystko.

— Co za jeden?

— Nikt. Przyjezdny. Po prostu facet. Ale węszy. Sądźmy, że to były wojskowy. Chyba służył w żandarmerii. Może nie wyzbył się żandarmskich przyzwyczajzeń.

— Jak dawno temu służył?

— Kupę lat.

— Jakieś powiązania?

— O żadnych nam nie wiadomo. Nikt za nim nie zatęskni. Bez stałego adresu. Praktycznie bezdomny włóczęga. Przywiało go tu jak śmiecia. A teraz musi wywiać.

— Jak wygląda?

— Byczysko. Co najmniej metr dziewięćdziesiąt i na oko ze sto dziesięć kilo. Ostatnio widziany w starej brązowej kurtce z kapturem i wełnianej pilotce. Dziwnie sztywno chodzi, jakby go coś bolało.

— Dobra — mruknął Tyler. — To gdzie i kiedy?

— Chcemy, żebyś popilnował stodoły — wyjaśnił głos. — Jutro przez cały dzień. Nie możemy dopuścić, żeby dostał się do środka. Nie teraz. Jeśli się go nie pozbędziemy dziś wieczorem, to się w końcu kapnie. Polezie tam i zacznie węszyć.

— Sądźysz, że polezie tak sobie?

— Myśli, że jest nas czterech. Nie wie o piątym.

— To dobrze.

— Namierz go i zastrzel.

— Zrobię to.

— Tylko nie spudłuj.

— A kiedyś spudłowałem?

Tyler rozłączył się, umieścił komórkę na desce rozdzielczej i lekko przyspieszył. W lusterku widział adidas wycieczki, przed sobą i za sobą miał pustkę zimowych pól z zapadającymi ciemnościami po lewej i zachodzącym słońcem po prawej.

• • •

Stodołę zbudowano dawno temu, jeszcze w czasach, gdy średniej wielkości drewniane zabudowania gospodarskie uważano za najwłaściwsze dla rolnictwa w Nebrasce. Później zastąpiono je wielkimi konstrukcjami stalowymi, które stawiano w miejscach dobieranych wyłącznie pod kątem logistyki transportowej. Ale stara stodoła wciąż stała, powoli chyląc się ku upadkowi, murszejąc i coraz bardziej zapadając. Otaczał ją duży dziedziniec pokryty starą masą bitumiczną, spękaną i wyboistą po latach zimowych mrozów i letniej spiekoty, ze szparami porośniętymi przez chwasty. Wrota zrobiono z masywnych drewnianych belek scalonych stalowymi sprzęgami, zawieszono na stalowej szynie i zaopatrzone w stalowe kółka, jednak stopniowe zapadanie się budynku spowodowało, że kółka zakleszczyły się w prowadnicach i wrót nie dawało się już przesunąć. Do środka można się było dostać tylko przez niewielkie drzwiczki, które umieszczono we wrotach nieco na lewo od środka. Były tak małe, że zmuszały dorosłego mężczyznę do pochylenia głowy.

Eldridge Tyler obserwował drzwiczki przez lunetkę na strzelbie. Zajął pozycję godzinę przed czasem, długo przed świtem, bo takie postępowanie uznawał za roztropne. Był człowiekiem cierpliwym, słownym i bardzo skrupulatnym. Zjechał swoim

silverado z szosy, skręcił w wyboisty trakt wyżłobiony przez traktory i zaparkował w starej szopie bez przedniej ściany, której używano do składowania jutowych worków z nawozami, by je ochronić przed wiosennymi deszczami. Ziemia była zmarznięta na kamień i jego przejazd nie wzniecił tumanów kurzu ani nie pozostawił śladów. Zgasił wielki ośmiocylindrowy silnik, zawrócił do wjazdu do szopy i przez całą jego szerokość przeciągnął cienki przewód w czarnej plastikowej osłonce, umieszczając go na wysokości połowy łydki rosnącego mężczyzny.

Potem zawrócił do półciężarówki, wspiął się na skrzynię ładunkową, z niej na dach szoferki i umieścił strzelbę i dużą brezentową torbę na półce pod dwuspadowym daszkiem szopy, tworzącym coś w rodzaju stryszku. Sam też ułożył się na półce i uniósł lekko żaluzję na wywietrzniku w szczytowym fragmencie ściany. Wiedział, że gdy tylko się rozjaśni, będzie miał stąd doskonały widok na stodołę, oddaloną dokładnie sto dziesięć metrów od szopy. Nie był to żaden szczęśliwy przypadek. Znalazł tę kryjówkę wiele lat temu, gdy jego czterej przyjaciele po raz pierwszy zwrócili się do niego o pomoc, i miał czas dokładnie ją obejrzeć i przygotować. Wbił gwoździe do zaczepienia pułapki z drutu, zmierzył krokami odległość do stodoły i poluzował żaluzję na wywietrzniku. Teraz ułożył się wygodnie na półce pod dachem, opatulił, jak mógł, przed zimnem i zaczął czekać na wschód słońca. Istotnie wkrótce wzeszło, blade i anemiczne.

Posługiwał się strzelbą Grand Alaskan, produkowaną w Ameryce przez firmę Arnold Arms Company. Komora mieściła pociski Magnum kaliber trzysta trzydzieści osiem, lufa miała sześćdziesiąt sześć centymetrów długości, kolbę wytoczono z angielskiego orzecha. Kosztujące siedem tysięcy dolarów cacko wystarczało, by zabić niemal wszystko poruszające się na czterech łapach, i było aż za dobre na cele dwunożne. Lunetka Ultravid firmy Leica za dziewięćset dolarów miała standardowy krzyżyk celowniczy na siatce w okularze. Tyler

ustawił zbliżenie na dwie trzecie zakresu, dzięki czemu pole widzenia na odległość stu dziesięciu metrów obejmowało obszar o średnicy około trzech metrów. Białe słońce wisiało nisko nad horyzontem i jego łagodne szarawe światło rozchodziło się niemal poziomo nad uśpioną okolicą. Później miało się nieco wznieść i zaraz po południu rozpocząć wędrówkę w dół ku zachodowi. Było mu to bardzo na rękę, bo oznaczało, że nawet ubrany na brązowo cel będzie przez cały dzień dobrze widoczny na brązowym tle drewnianych belek.

Tyler założył, że jego cel jak większość ludzi jest praworęczny i ustawi się trochę na lewo od środka, by móc sięgnąć prawą ręką do skobla drzwiczek na wrotach. Założył także, że ktoś obolały i usztywniony podejdzie możliwie najbliżej drzwiczek, by do maksimum ograniczyć ruchy. Drzwiczki miały niecały metr osiemdziesiąt wysokości, ale ponieważ umieszczono je w przesuwanych wrotach, ich dolna krawędź znajdowała się jakieś dwadzieścia centymetrów nad ziemią. Środek głowy kogoś o wzroście metr dziewięćdziesiąt znajduje się mniej więcej metr osiemdziesiąt pięć nad ziemią, a to oznaczało, że idealny punkt celowania na osi pionowej znajduje się piętnaście centymetrów poniżej górnej krawędzi drzwiczek. Mężczyzna ważący sto dziesięć kilo musi być szeroki w barach, więc środek jego czaszki w chwili otwierania drzwi znajdzie się jakieś czterdzieści pięć centymetrów w lewo od prawej ręki, to zaś oznaczało, że należy przyjąć punkt celowania na osi poziomej około piętnastu centymetrów od lewej krawędzi drzwi.

Piętnaście centymetrów poniżej górnej krawędzi, piętnaście centymetrów w bok od lewej krawędzi. Tyler sięgnął za siebie i wyjął z torby dwa woreczki długoziarnistego ryżu. Oba kupił dopiero co w sklepie spożywczym, po dwa i pół kilo każdy. Ułożył je przed sobą i wcisnął w nie wypolerowaną podstawę lufy z drewna orzechowego. Przytknął policzek do kolby i wpatrując się w krzyżyk celowniczy w lunetce, ustawił go na lewy górny narożnik drzwi, przesunął lekko w dół i lekko

w lewo i delikatnie położył palec na spuście. Zaczerpnął głęboko powietrza i wypuścił. Słyszał, jak stojąca pod nim półciągarówka cicho trzeszczy w miarę stygnięcia, roztaczając woń benzyny i spalin, zmieszaną ze stęchłym zapachem kurzu i butwiejącego drewna. Słońce powoli się wznosiło i robiło się coraz jaśniej. Powietrze było wilgotne i ciężkie, zimne i gęste. Takie, w którym piłka baseballowa nie wylatuje poza płytę boiska, a oblepiony nim pocisk trafia pewnie do celu.

Tyler czekał. Wiedział, że może przyjdzie mu czekać cały dzień, i był na to gotowy. Nigdy nie brakowało mu cierpliwości. Skracał sobie czas, wyobrażając sobie możliwy przebieg wydarzeń. Wyobrażał sobie, jak rosty mężczyzna w brązowej kurtce wkracza w pole widzenia lunetki, nieruchomieje, potem odwraca się plecami i kładzie rękę na skoblu.

W odległości stu dziesięciu metrów od niego.

Jeden celny strzał.

I po sprawie.

2

Rosły mężczyzna w brązowej kurtce z kapturem nazywał się Jack Reacher i dla niego wszystko zaczęło się wczesnym wieczorem od dzwonka telefonu sześć kilometrów dalej. Telefon zadzwonił w recepcji motelu przy skrzyżowaniu dróg, gdzie wysadził Reachera kierowca, który go podwiózł. Teren wokół był ciemny, martwy i zupełnie płaski i motel stanowił jedyny przejaw życia w zasięgu wzroku. Został zbudowany czterdzieści lub pięćdziesiąt lat wcześniej na fali inwestycyjnego entuzjazmu. Może wówczas istniały plany szybkiego rozwoju regionu, których nigdy nie zrealizowano, a może od początku był to poroniony pomysł. Na drugiej ćwiartce skrzyżowania sterczały resztki niedokończonej i opuszczonej stacji benzynowej, na trzeciej widać było fundamenty pod jakąś rozległą budowlę — duży sklep czy może nawet niewielkie centrum handlowe — która nigdy nie powstała. Czwarta ćwiartka była zupełnie pusta.

Ale motel jakoś przetrwał. Całość miała dość dziwaczny wygląd i kojarzyła się Reacherowi z rysunkami z komiksów dla chłopców o wyprawach na Księżyc lub Marsa i wznoszonych tam koloniach osadników. Główny budynek był rotundą z kopulastym dachem, za nią ciągnął się rząd domków o takim

samym kształcie, które zataczały lekki łuk, stopniowo malejąc, co sztucznie podkreślało perspektywę. Większe domki bliżej głównej rotundy były przeznaczone dla rodzin z dziećmi, mniejsze i bardziej oddalone dla par i pojedynczych gości. Ściany wszystkich pomalowano srebrzystą farbą, przy oknach i drzwiach domków sterczały aluminiowe elementy imitujące anteny. Wszystkie tonęły w niesamowitej niebieskawej poświacie, rzucanej przez świetlówki ukryte pod okapami daszków. Ścieżki wysypano szarym żwirem i obramowano drewnianymi listwami także w srebrnym kolorze. Słup z szyldem motelu obudowano sklejką pomalowaną na srebrno i tak ukształtowaną, by imitowała rakietę kosmiczną na trójnogu wąskich skrzydełek. Nazwę „Apollo Inn” namalowano literami przypominającymi liternictwo stosowane na czekach bankowych.

Niemal całe wnętrze głównej rotundy było otwartą przestrzenią i tylko w głębi wydzielono fragment z wejściem do biura motelu i dwójgciem drzwi prowadzących zapewne do toalet. Na prawo od wejścia znajdował się łukowaty kontuar recepcji, po przeciwnej stronie umieszczono identycznie zakrzywiony bar. Całość pomieszczenia o mniej więcej trzydziśtometrowej średnicy pełniła funkcję salonu z niedużym parkietem do tańca i kilkunastoma stolikami, każdy z własną lampką z abażurem z frędzlami i krzeselkami wyściełanymi czerwonym pluszem. Wewnętrzną stronę kopulastego dachu stanowiła pusta czasza podświetlona czerwonymi neonówkami. Poza tym w pomieszczeniu było jeszcze mnóstwo ukrytych punktów świetlnych, a wszystkie świeciły na czerwono lub różowo. Z wmontowanych w ściany głośników płynęły ciche dźwięki pianoli. Całość sprawiała dość niesamowite wrażenie i zapewne miała nawiązywać do Las Vegas z lat sześćdziesiątych, które ktoś przeniósł w przestrzeń kosmiczną.

Nie licząc jednego gościa i barmana, w całym pomieszczeniu nie było nikogo. Reacher stanął przy recepcji, barman przeszedł za kontuar recepcyjny i gdy Reacher spytał o nocleg, na jego

twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia, jakby nieczęsto słyszał takie pytania. Szybko się jednak opanował i po zainkasowaniu trzydziestu dolarów w gotówce wręczył Reacherowi klucz. Miał pięćdziesiąt pięć, może sześćdziesiąt lat, nie był zbyt wysoki ani zbyt szczupły, jego głowę zdobiła czupryna po-farbowana na rdzawy kolor, który Reacherowi kojarzył się bardziej z Francuzkami w pewnym wieku. Mężczyzna schował trzydzieści dolarów do szuflady i z namaszczeniem odnotował przychód w wielkiej księdze. Zapewne był spadkobiercą pomyleńców, którzy to wszystko zbudowali. Zapewne też przez całe życie nie ruszył się stąd na krok i nie pracował nigdzie indziej, a tu wiązał koniec z końcem, pełniąc pięć funkcji naraz: kierownika, recepcjonisty, barmana, złotej rączki i pokojówki. Zamknął księgę, schował do szuflady i ruszył w stronę baru.

— Macie tu kawę? — spytał Reacher.

Mężczyzna odwrócił się, uśmiechnął i z widoczną satysfakcją rzucił: „Jasne”, jakby podjęta kiedyś decyzja, by co wieczór trzymać w gotowości filtracyjną zaparzarkę do kawy, znalazła wreszcie uzasadnienie. Reacher ruszył za nim przez neonową poświatę i usiadł na stołku trzy miejsca od jedyne go klienta. Klient był mężczyzną około czterdziestki i miał na sobie grubą tweedową marynarkę o sportowym kroju, ze skórzanymi łatami na łokciach. Łokcie trzymał oparte o kontuar, dłońmi opłatał szklankę z bursztynowym płynem i kostkami lodu. Siedział z pochyloną głową i tępy m wzrokiem wpatrywał się w zawartość szklanki, zapewne nie pierwszej tego wieczoru. Może nawet nie trzeciej i nie czwartej. Twarz miał pokrytą kropelkami potu i wyglądał na niezłe wstawionego.

Barman z rdzawymi włosami nalał kawę do porcelanowego kubka z emblematem NASA i ostrożnie przesunął po blacie. Kubek mógł stanowić dla niego bezcenny antyk.

— Śmietanka? — spytał. — Cukier?

— Nie i nie — odrzekł Reacher.

— Nocleg w drodze?

— Mam zamiar wyruszyć na wschód najwcześniej, jak się da.

— Jak daleko na wschód?

— Do końca. Do Wirginii.

Barman z farbowaną czupryną pokiwał ze zrozumieniem głową.

— A więc musi pan najpierw pojechać na południe. Aż do międzystanowej.

— Taki mam zamiar — potwierdził Reacher.

— Skąd pan jedzie?

— Z północy.

— Samochodem?

— Autostopem.

Facet z kolorowymi włosami zamilkł, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Barmani lubią w swoich barach pogodną atmosferę, a ten temat nie zapowiadał się zbyt pogodnie. Złapanie okazji w środku zimy na bocznej drodze, w stanie zajmującym czterdzieste pierwsze miejsce pod względem gęstości zaludnienia wśród pięćdziesięciu stanów Ameryki, nie mogło być łatwe, uznał więc, że lepiej będzie głośno tego nie mówić. Reacher uniósł kubek, próbując utrzymać go bez ruchu. Taki sobie sprawdzian. Nie wypadł najlepiej. Wszystkie ścięgna, więzadła i każdy mięsień od końców palców po klatkę piersiową piekły i bezustannie drgały, a na powierzchni kawy tworzyły się małe koncentryczne kręgi. Zebrał się w sobie i przytknął kubek do ust, starając się to zrobić spokojnym, płynnym ruchem, ale wyszło mu nerwowe, niezbyt opanowane szarpnięcie. Pijak przy barze przez chwilę mu się przyglądał, po czym bez słowa odwrócił głowę. Kawa była gorąca i za długo stała, ale zawierała kofeinę, a o to Reacherowi głównie chodziło. Pijak upił łyk, odstawił szklanekę na tekturową podstawkę i wpatrzył się w nią smętnie. Usta miał lekko rozchylone i w kącikach utworzyły się pęcherzyki śliny. Upił kolejny łyk, Reacher zrobił to samo,

tym razem spokojniej. Wszyscy trzej milczeli. Pijak wysączył szklankę do końca i dostał nową porcję. Bourbon Jim Beam, co najmniej potrójna miarka. Drzenie ręki Reachera nieco się uspokoiło. Na kawę zawsze mógł liczyć.

I wtedy zadzwonił telefon.

A właściwie dwa równocześnie. Widocznie do jednej linii podłączono dwa aparaty — jeden na ladzie w recepcji, drugi na półce za barem — i zadzwoniły oba. Pracujący na pięć etatów facet z kolorowymi włosami nie mógł być wszędzie. Podniósł słuchawkę i rzucił: „Motel Apollo Inn” z takim entuzjazmem, jakby odbierał pierwszy telefon w dniu uroczystego otwarcia motelu. Przez chwilę słuchał w milczeniu, potem przyłożył słuchawkę do piersi i powiedział:

— To do pana, doktorze.

Reacher odruchowo spojrzął za siebie, ciekawy, do kogo barman mówi, ale nikt za nim nie stał. Za to odezwał się siedzący przy barze pijak:

— Kto?

— Pani Duncan — odrzekł barman.

— Co jej jest?

— Ma krwotok z nosa i nie może go zatamować.

— Powiedz, że mnie tu nie ma.

Barman przekazał kłamstwo i odłożył słuchawkę. Siedzący przy barze zapadł się w sobie i jego twarz niemal zrównała się z krawędzią szklanki.

— Jest pan lekarzem? — zapytał Reacher.

— A panu co do tego?

— Pani Duncan jest pańską pacjentką?

— Formalnie rzecz biorąc.

— I ją pan olewa?

— Coś pan za jeden? Komisja etyczna? Krew jej leci z nosa.

— Której nie może zatamować. To może być coś poważnego.

— Ma trzydzieści trzy lata i jest okazem zdrowia. Ani śladu nadciśnienia czy wad serca. Nie jest narkomanką. Nie ma się

czym przejmować. — Pijak podniósł szklanę i siorbnął, przełknął, znów siorbnął i znów przełknął.

— Jest mężatką? — Reacher nie dawał za wygraną.

— A co, od małżeństwa dostaje się krwotoku z nosa?

— Czasami. — Reacher pokiwał głową. — Kiedyś służyłem w żandarmerii. Czasami wyciągali nas z posterunku i wysyłali do kwater małżeńskich. Często bite kobiety łykają dużo aspiryny dla uśmierzenia bólu. Aspiryna rozcieńcza krew, więc przy następnym łomocie nie mogą jej zatamować.

Pijak milczał.

Barman odwrócił twarz.

— A co? Często się to zdarza? — spytał Reacher.

— To tylko krwotok z nosa — mruknął pijak.

— Boi się pan mieszać do domowej awantury, tak?

Cisza.

— Może mieć też inne urazy — ciągnął Reacher. — Mniej widoczne. Jest pańską pacjentką.

Cisza.

— Krwawienie z nosa jest równie niebezpieczne, jak krwawienie z czegokolwiek innego. Jeśli się tego nie zatamuje, kobieta straci przytomność. Jak przy upływie krwi z rany od noża. Gdyby to była rana od noża, toby jej pan tak nie zostawił, prawda?

Cisza.

— Jak pan sobie chce. — Reacher wzruszył ramionami. — Nie moja sprawa. Zresztą i tak nic by pan nie poradził. W tym stanie nie może pan nawet pojechać do niej samochodem, obojętnie jak daleko stąd mieszka. Ale powinien pan do kogoś zadzwonić.

— Nie mam do kogo — mruknął pijak. — Najbliższa stacja pogotowia jest sto kilometrów stąd. Nie wyślą karetki sto kilometrów do krwawiącego nosa.

Reacher upił kolejny łyk kawy. Pijak tym razem nie sięgnął po szklanę.

— Jasne, że miałbym problem z dojechaniem — powiedział w zadumie. — Ale na miejscu bym sobie poradził. Jestem dobrym lekarzem.

— To strzeż mnie, Boże, przed złym.

— Na przykład wiem, co dolega panu. Znaczy, fizycznie. Bo umysłowo się nie wypowiadam.

— Nie przeciągaj struny, kolego.

— Bo co?

Reacher nic nie powiedział.

— To tylko krwotok z nosa — powtórzył lekarz.

— I jak by pan temu zaradził? — spytał Reacher.

— Małe miejscowe znieczulenie. Trzeba zatkać gazą oba otwory nosowe. Ciśnienie powstrzyma krwawienie bez względu na to, czy jest po aspirynie, czy nie.

Reacher skinął głową. Pamiętał te sposoby z czasów służby wojskowej.

— No to jedźmy, doktorku — powiedział. — Ja pana zawiozę.

3

Chwiejąc się, doktor pomaszerował po płaskiej pustej podłodze takim krokiem, jakby wspinał się pod górę. Udało mu się jednak dotrzeć do wyjścia, a zimne powietrze nieco go otężeżyło. W każdym razie na tyle, by odnalazł kluczyki. Pomacał się po kieszeniach i wyciągnął sfatygowane skórzane etui z pękiem kluczy na kółku. Spękaną złocistą literę na etui układały się w napis DUNCAN TRANSPORTATION.

— Z tych samych Duncanów? — spytał Reacher.

— Mamy tu tylko jedną rodzinę Duncanów — burknął lekarz.

— I wszystkich pan leczy?

— Tylko ją. Jej mąż jeździ do Denver. A z tego, co mi wiadomo, jego ojciec i stryjowie leczą się sami korzonkami i jagodami.

Subaru kombi doktora było jedynym samochodem na parkingu i okazało się w miarę nowe i w miarę czyste. Reacher wymacał w etui pilota i odblokował drzwi. Lekarz ruszył do drzwi kierowcy, ale zreflektował się i zmienił kierunek. Reacher wcisnął się za kierownicę, odsunął fotel, uruchomił silnik i odnalazł włącznik świateł.

— Jedziemy na południe — powiedział lekarz.

Reacher odchrząknął.

— Lepiej niech pan na mnie nie chucha. Ani na pacjentkę.

Wyciągnął ręce ku kierownicy tak niepewnie, jakby zamiast rąk miał rękawice baseballowe na długich patykach. Gdy udało mu się je oprzeć, zacisnął kurczowo palce i przez chwilę trzymał nieruchomo w nadziei, że naprężenie ramion zelżeje. Wyjechał z parkingu i skręcił na południe. Było zupełnie ciemno i po bokach nic nie było widać, ale Reacher wiedział, że w obie strony ciągną się niekończące się płaskie pola.

— Co się tu uprawia? — spytał, głównie po to, by lekarz nie przysnął.

— Kukurydzę, oczywiście. Wszędzie tylko kukurydza i kukurydza. Cholernie dużo kukurydzy. Więcej, niż mieści się w głowie człowieka zdrowego na umyśle.

— Jest pan stąd?

— Urodziłem się w Idaho.

— Tam z kolei ziemniaki.

— Lepsze to niż kukurydza.

— Więc co przywiodło pana do Nebraski?

— Małżeństwo. Żona się tu urodziła i wychowała.

Przez chwilę jechali w milczeniu, po czym Reacher zapytał:

— To co mi jest?

— Co?

— Powiedział pan, że pan wie, co mi dolega. W każdym razie fizycznie. No to słucham.

— Co to ma być? Jakiś sprawdzian?

— Niech pan nie udaje, że by się panu nie przydał.

— Idź pan do diabła. Funkcjonuję.

— To niech pan to udowodni.

— Wiem, co panu jest — powiedział lekarz. — Tylko nie wiem od czego.

— A co mi jest?

— Naciągnął pan sobie wszystko, od zginacza mięśnia *digiti minimi* po *quadratus lumborum* obustronnie i w miarę symetrycznie.

— Mógłby pan mówić po angielsku?

— Nadwyreżył pan sobie wszystkie mięśnie, ścięgną i więzadła uczestniczące w poruszaniu rękami, od czubków palców po zaczepek na dwunastym żebrze. Jest pan cały obolały, czuje pan dyskomfort i pańskie zdolności motoryczne szlag trafił, bo wszystko w panu protestuje.

— Rokowanie?

— Wyliże się pan.

— Kiedy?

— Za parę dni. Może tydzień. Niech pan łyka aspirynę.

Jechali w milczeniu. Reacher opuścił lekko szybę, chcąc, by pęd powietrza wywiały opary burbona. Minęli trzy stojące blisko siebie domy sto metrów od szosy, od której prowadził jeden wspólny podjazd. Wszystkie trzy miały wspólne ogrodzenie z prętów na metalowych słupkach i widać było, że całość jest dość wiekowa i czasy świetności ma już za sobą. Lekarz odwrócił głowę i obrzucił domy długim, ponurym spojrzeniem, po czym bez słowa przeniósł wzrok na drogę.

— A jak pan to zrobił? — zapytał.

— Co jak zrobiłem?

— Jak pan tak nadwyreżył ramiona?

— Pan tu jest lekarzem. Niech pan mi to powie.

— Dwukrotnie zetknąłem się z identycznymi objawami. Po jednym z huraganów na Florydzie zgłosiłem się na ochotnika. Nie jestem takim złym facetem.

— No i?

— Ci, których dopadła poza domem wichura wiejąca z szybkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, albo się turlali po ulicy, albo próbowali czegoś się trzymać. To oznacza ciężar własny ciała kontra napór huraganu, a to potężne obciążenie. W rezultacie doznali takich właśnie urazów. Ale patrząc na pana, powiedziałbym, że pańskie mają nie więcej niż dwa dni. Mówił pan, że jedzie z północy, a stąd na północ nie było żadnych huraganów. Nie mówiąc o tym, że to nie jest sezon

na huragany. Jestem gotów się założyć, że przez ostatni tydzień nigdzie na świecie nie było huraganu. Ani jednego. I dlatego nie wiem, jak się pan tak urządził. Ale życzę szybkiego powrotu do zdrowia. Naprawdę szczerze panu życzę.

Reacher nie zareagował.

— Na następnym skrzyżowaniu w lewo — powiedział lekarz.

• • •

Po pięciu minutach dotarli do domu Duncanów. Dom był podświetlony od zewnątrz i nawet na białą skrzynkę na listy przy drodze świeciły dwa umieszczone po bokach reflektorki. Na skrzynce widniało napisane dużymi literami nazwisko „Duncan”. Dom wyglądał na zaadaptowaną wiejską chałupę. Nie imponował rozmiarami, był natomiast utrzymany w nieskazitelnym porządku. Od frontu rozciągał się pogrążony w zimowym śnie trawnik, na którym ustawiono starą dwukółkę na wysokich kołach ze szprychami i długimi dyszlami.

Podjazd kończył się przed oddzielnym dużym budynkiem, który w czasach rolniczej przeszłości mógł służyć za stodołę, teraz jednak mieściły się tu garaże z trzema boksami. Jeden z nich był otwarty na oścież, jakby ktoś wyjeżdżał w pośpiechu.

Reacher zatrzymał samochód przy ścieżce prowadzącej do wejścia do domu.

— Pora na pański występ, doktorku — powiedział. — O ile pacjentka wciąż tu jest.

— Na pewno jest.

— No to chodźmy.

Wysiedli z samochodu.